ROBERT MIĘKUS JANUSZ PETELSKI

CAŁA FERAJNA

POWIEŚĆ OBYCZAJOWO-KRYMINALNA

Wytykać powieści „Cała ferajna", że jest podobna do „Ojca chrzestnego", jest tak samo absurdalne, jak czynić kobiecie wyrzuty, że jest podobna do Brigitte Bardot.

Władysław Pasikowski, reżyser

LIRA
WYDAWNICTWO

CAŁA FERAJNA

ROBERT MIĘKUS
JANUSZ PETELSKI

CAŁA FERAJNA

POWIEŚĆ OBYCZAJOWO-KRYMINALNA

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2021
ISBN: 978-83-66966-82-6

pamięci
Pawła Rakowskiego

CZĘŚĆ I
PORZĄDKI

1.

Jeżeli tak wygląda śmierć, to nie jest źle.

Nie pamiętał nic z tego, co się stało. Jakby obudził się po jakiejś straszliwej, pijackiej nocy. Tylko zamiast kaca był ból w klatce piersiowej, te cholerne kable i miarowy, rytmiczny pisk — znak, że żył. Ale powrót do świadomości był identyczny: na początku nie wiedział, gdzie był i co tu robił. Teraz już tylko nie mógł przypomnieć sobie samego momentu, jakby mu się film urwał. Ale resztę pamiętał…

Halina Nieznańska właśnie podawała klientce bukiet czerwonych róż, gdy zauważyła, że pod kwiaciarnię podjeżdża samochód jej męża, czarny mercedes S-klasse V12.

— Do widzenia. — Na słowa klientki odpowiedziała jedynie kiwnięciem głowy, patrząc przez okno witryny, jak Feliks wysiada z tylnego siedzenia.

Za kierownicą siedział Kosiara. Nawet stąd było dobrze widać jego okrągły i łysy łeb. Lubiła tego zwalistego chłopaka i traktowała trochę jak kolejnego syna. Zwłaszcza gdy zaglądał do kuchni i ciągle coś podżerał. Zupełnie jak Felek i Franek. Zawsze woził Feliksa i zawsze tytułował go bossem, co spowodowało, że reszta chłopaków zaczęła mówić o swoim szefie „Bosy" i tak już zostało.

Do kwiaciarni weszli kolejni klienci. Młody chłopak z dziewczyną. Na chwilę przysłonili witrynę, przez którą obserwowała wysiadającego z samochodu męża. Przytył trochę przez te czterdzieści lat małżeństwa, ale poza tym był taki jak zawsze — niezbyt wysoki, krępy, grubokościsty. Mocno już posiwiałe włosy zaczynały się znacznie wyżej nad linią brwi niż kiedyś…

Gdy tylko zamknęły się tylne drzwi auta, Kosiara przełączył stację w radiu. Właśnie leciał jakiś dyskotekowy kawałek po angielsku. Palce same zaczęły wystukiwać rytm na kierownicy w takt uderzeń perkusji. Muzyka wypełniła samochód. Kosiara słuchał piosenki, z której nie rozumiał ani słowa, a jednocześnie, jak wierny pies, patrzył za swoim panem. A ten dochodził już do kwiaciarni, gdy nagle stanął, złapał się za pierś i zgięty wpół upadł na chodnik.

— O kurwa! — Kosiara był zaskoczony, nie słyszał strzału. Mimo potężnej postury zwinnie wyskoczył zza kierownicy, wyszarpnął zza paska pistolet. Rozglądając się na wszystkie strony, instynktownie schylając głowę — jakby się bał, że teraz on będzie celem — pobiegł w kierunku leżącego na chodniku szefa. Z kwiaciarni wybiegła przerażona Halina.

— Feliks! Jezu! Feliks!

Kosiara był już przy leżącym mężczyźnie. Klęknął, szarpnięciem rozchylił mu marynarkę, aż guzik prysnął gdzieś w bok. Szukając rany, jednocześnie nerwowo rozglądał się wokół, gotowy w każdej chwili zasłonić szefa swoim ciałem.

— Boss! Kto strzelał, skąd?! — dopytywał, zdezorientowany.

Halina dobiegła do mężczyzn, zasłaniając dłońmi otwarte w niemym okrzyku usta. Feliks miał twarz wykrzywioną z bólu. Powoli uniósł rękę, zakrył dłonią broń ochroniarza.

— Schowaj to gówno — wyszeptał z trudem. — Serce…

Po kilkunastu dniach do sali na OIOM-ie w bródnowskim szpitalu wszedł lekarz w towarzystwie pielęgniarki. Popatrzył na pacjenta: leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami i rękami wyciągniętymi wzdłuż tułowia. Lekarz przeniósł wzrok na ekran urządzenia monitorującego pracę serca. Pokiwał głową i zdecydowanym ruchem wyłączył aparaturę.

Pielęgniarka odchyliła kołdrę, zaczęła odczepiać elektrody od nagiego torsu.

— No, panie Nieznański, przenosimy pana do zwykłego pokoju — powiedział lekarz. — Już po strachu.

Bosy otworzył oczy.

— Jak — po strachu? Strachu to nie ma tylko wtedy, jak przyjaciele i rodzina myślą, że już nie żyjesz…

Teraz leżał w niewielkiej, jednoosobowej salce. Miał zamknięte powieki, ale otworzył je, słysząc kroki na korytarzu. W drzwiach pojawiła się Halina z dużym bukietem kwiatów, za nią ich młodszy syn, Franek — trzydziestoletni narwaniec zwany przez wszystkich Krawcem. Ksywkę zawdzięczał swym umiejętnościom. Kroił ludzi jak krawiec materiały. Wtajemniczeni wiedzieli, że zawsze nosi przy sobie nóż ukryty w prawym rękawie.

— Co ty, Halina? Podrywać mnie będziesz? — zażartował Bosy. Wyraźnie wracało mu zdrowie. Halina przysiadła na skraju łóżka, cmoknęła męża w policzek, poklepała po dłoni.

— Raz na jakiś czas można swojego chłopa rozpieścić, przyjemniej ci będzie, a poza tym kwiaciarz jesteś, nie?

Krawiec podszedł do ojca, podali sobie ręce.

— Jak się czujesz?

— Dzięki, pożyje jeszcze.

— Podać ci lekarstwo? — Krawiec z łobuzerską miną odchylił połę marynarki, pokazując ukrytą tam piersiówkę koniaku.

— A daj łyka. — Bosy wyraźnie się ożywił, ale Halina natychmiast zareagowała.

— Co? Czyś ty zwariował? Po moim trupie!

— Mama, patrz, jak się ojcu oczy świecą z radości. Tylko łyka. — Krawiec podał choremu piersiówkę. Bosy

pociągnął, wyraźnie delektując się trunkiem. Na korytarzu zastukały czyjeś szybkie kroki.

— Pielęgniarka! Chowaj, już! — Oddał synowi płaską butelkę. Krawiec wcisnął ją do wewnętrznej kieszeni marynarki sekundę przed tym, zanim drzwi się otworzyły i stanęła w nich bardzo elegancko, a przy tym seksownie ubrana siostra Haliny, Krystyna. Mimo swoich pięćdziesięciu pięciu lat wciąż była atrakcyjną kobietą.

— A, to ty, Krycha — uspokoił się Bosy.

Szwagierka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— A kogo żeś się spodziewał?

Popatrzyła na pozostałych, ale nie dowiedziała się, o co chodziło. Wzruszyła ramionami.

— Cześć siostra, cześć Franek. — Ucałowała się z Haliną, podała rękę Krawcowi. — Ja na chwilę, bo czasu mam niewiele.

— No dobra, to spadajcie — zdecydował Bosy. — Halina, zajdź do doktora, podpytaj, jak ze mną jest.

Halina spojrzała na męża, a potem, z wyraźną dezaprobatą, na siostrę. Mimo to nie zaprotestowała. Wyszła. Podobnie Krawiec, który nagle przypomniał sobie, że musi coś pilnie załatwić. Krystyna siadła na krześle, zakładając nogę na nogę, i z troską popatrzyła na Bosego.

— Jak ci? — zapytała.

— Ze chrztu świętego Feliks.

— Nie wygłupiaj się.

— To ty mi pierdołami czasu nie zajmuj, mów, co jest.

— Szwedzi nogami przebierają, trzeba towar odebrać, a psy strasznie węszą — rozpoczęła wyliczankę Krystyna.

— Teraz węszą — przerwał zdziwiony Bosy — jak ja jedną nogą w grobie?

— No właśnie, wierzyć nie chcą, że to pompka ci nawaliła.

— Coś jeszcze? — Bosy nie podjął tematu choroby swojego serca.

— Fantom ze swoimi za bardzo się cieszy. Jak cię erka zabrała, trzy dni pili z radości. Już gadają w mieście, że teraz to po nas i tylko oni będą warunki dyktować.

— I co?

— Franek chciał mu złożyć sprostowanie, ale powiedziałam, że ma czekać, co ty powiesz — wyjaśniła Krystyna.

— Fantom tylko gada czy coś konkretnie robi?

— Konkretnie spalił Malinie tira fajek.

— Spalił?

— No właśnie spalił zamiast przejąć. Powiedział, że stać go na zapalenie tobie kadzidła i żeby Malina wiedział, kto teraz akcyzę zbiera. Malina strasznie wkurwiony, łazi i mordę drze, że twoja ochrona do dupy. — Krystyna przerwała, zerknęła na Bosego z obawą, że może powiedziała za dużo, że tylko zdenerwuje chorego…

Bosy zapytał jak profesor sprawdzający wiedzę studentki:

— Co byś zrobiła?

— Malinie trzeba wytłumaczyć, że reklamacje przyjmujemy w firmie, nie na mieście.

— Dalej.

— Z Fantomem podobno do jednej szkoły chodziliście, twój kumpel z podwórka jeszcze, to go mój zakład obsłuży darmo.

Bosy kiwnął głową.

— Tak będzie.

— Kiedy?

— Jak wróce do domu.

— Nie za późno? Tracimy czas…

Bosy wzruszył ramionami.

— Ja nie trace. Mam kiedy pomyśleć.

Widząc, że nie przekonał szwagierki, dodał z łagodną perswazją:

— Spokojnie, Krycha. Będzie dobrze. Moja matka mówiła „jeszcze nie wieczór".

Był wyraźnie zmęczony i Krystyna czuła, że dalsza rozmowa nie ma już sensu. Wstała.

— Trzymaj się — powiedziała ciepło.

Nieznacznie skinął głową. Wyszła. Odwrócił twarz do ściany.

Kiedy wróciła Halina, już spał.

Krawiec kontrolowanym poślizgiem zaparkował swój lśniący, czarny samochód przed salonem sprzedaży Mercedesa na Radzymińskiej, na wprost centrum handlowego M1. Wysiadł, ostentacyjnie zostawił otwarte okna. To sygnał, kto tu rządzi: fura nie do ruszenia. Przeszedł przez parking, zawiesił oko na zgrabnym coupe s204, stojącym za wielką szybą wystawową, oklejoną cyframi tworzącymi napis „2007" — podkreślający, że można tu nabyć model zaledwie miesiąc temu, w maju, zaprezentowany w Stuttgarcie. Po chwili, wprowadzony przez długonogą sekretarkę, wszedł do gabinetu właściciela salonu. Dealer wstał zza biurka i przywitał go z udawaną serdecznością.

— Dzień dobry, panie Franku! Niech pan siada. Zosia robi kawę?

— Kawę robi, a loda też? — zażartował Krawiec, rozsiadając się wygodnie. Dealer, jak wypadało, zaśmiał się krótko z dowcipu, potem sięgnął do dużej szafy, stojącej za jego biurkiem.

— Od dzisiaj stawka wzrosła, prezesie — poinformował uprzejmie Krawiec, przekonany, że facet, jak zawsze, wyjmie kopertę z kasą.

Dealer wyjął butelkę brandy.

— Po maluchu? — zaproponował.

Krawiec wzruszył ramionami.

— Może być i po litrze, a stawka nie jest do negocjacji.

— O płatnościach będzie za chwilę, jak Zosia… O, właśnie.

Sekretarka wniosła dwie kawy, postawiła na biurku i wyszła, odprowadzana spojrzeniem Krawca. Dealer nalał po kieliszku brandy. Gdy Krawiec się do niego odwrócił, wzniósł szkło w geście toastu. Wypił jednym haustem. Krawiec swojego nawet nie ruszył. Podsunął go mężczyźnie.

— Walnij, prezes, drugiego, bo coś ci oczka z nerwów latają — zaproponował z pełną ironii troską.

Dealer po chwili wahania chwycił kieliszek i wlał zawartość prosto do gardła. Odetchnął głęboko, poprawił się w fotelu, przysunął sobie filiżankę z kawą. Krawiec obserwował go, uśmiechając się szyderczo.

Czarne bmw serii 7 z trudem pokonywało rozkopaną ulicę Kościuszki w Markach. W środku siedziało dwóch napakowanych, w pewien sposób identycznych. W jaskrawych dresach z białymi paskami na nogawkach, ostrzyżonych na łyso, ze złotymi łańcuchami na szyjach i bransoletkami na rękach. Prowadził Pasztet, obok siedział Pompka. Kumplowali się od lat, jeszcze od podstawówki. Pasztet był poważniejszy, rzadko się uśmiechał — kiedy szedł chodnikiem, ludzie odruchowo schodzili mu z drogi. Pompka — odwrotnie: zawsze uśmiech od ucha do ucha i żarciki, którymi komentował prawie każdą sytuację. Robił niezwykle mylące wrażenie bardzo sympatycznego chłopaka. Ciągle kogoś myliło…

Samochód wjechał na teren hurtowni nabiału, opony złapały przyczepność na wybetonowanym placu. Pasztet

zakręcił z fasonem, cofnął w pobliże schodków na rampę. Wysiedli. Pasztet, wskazując samochód, uprzejmie zapytał jednego z robotników, który właśnie podjechał wózkiem widłowym:

— Nie będzie tu przeszkadzał?

— Nie, nie. Już skończyliśmy robotę.

— Bo wie pan, nie chciałbym, żeby mi go ktoś zarysował widlakiem.

Facet machnął ręką, że wszystko będzie OK. Pasztet z zadowoleniem kiwnął głową, Pompka posłał robotnikowi pełen sympatii uśmiech i poszedł za kumplem do wnętrza magazynu. Poruszali się w jednakowy sposób. Przez nadmiernie rozbudowane bicepsy ich ramiona nie przylegały do tułowi. Gdy szli, przypominali małpy.

Przeszklony kantor znajdował się w jednym z narożników wielkiej hali. Z daleka widać było zawalone segregatorami, fakturami i innymi papierowymi śmieciami biurko. Hurtownik, ze względu na prowadzony asortyment zwany Jajcarzem, widząc nadchodzących chłopaków, gestem odprawił swoich pracowników. Minęli się z nimi w drzwiach.

— Siema, Jajcarz.

— Co jest? — Hurtownik sprawiał wrażenie zdziwionego.

Pompka roześmiał się krótko, jak z dobrego dowcipu.

— Z ciebie to naprawdę jajcarz! Pierwszy jest! Kalendarza nie masz?

Jajcarz pokręcił głową.

— Za późno.

Pasztet spojrzał na Pompkę, Pompka na Paszteta, potem obydwaj popatrzyli na Jajcarza, jakby się z choinki urwał.

— Co „za późno”? Odbiło ci?

— Byli już u mnie od Fantoma.

Pasztet obszedł biurko, stanął przy Jajcarzu, przybliżył swoją twarz do jego twarzy i powiedział cicho, dobitnie:

— Kasa na stół. Już. A za to, że podskakujesz, pięćdziesiąt procent podatku.

Jajcarz nie cofnął głowy ani o milimetr.

— Frajera szukasz? Myślisz, że nie wiem, co jest grane?

Stojący po drugiej stronie biurka Pompka wyprowadził nagły prosty na głowę Jajcarza, ale Pasztet złapał go za rękę, zanim cios dosięgnął celu.

— Czekaj, Pompka. Kolega powie mi, co jest grane, bo ja mam kiepski słuch.

Jajcarz był pewny swego.

— Teraz kasę zbierają ci od Fantoma — wytłumaczył spokojnie. — Nie moja wina, że Bosy na wykończeniu i że was wyjebali z gry. Wiesz, jak jest. Dam wam kasę, to jutro spalą mi budę. Tydzień, dwa — i sami będziecie dla Fantoma robić, jak was przedtem nie pośle do piachu.

Dealer spojrzał na Krawca przyjaźnie.

— Panie Franku, ile my się lat znamy, no ile?

Krawiec beznamiętnie wzruszył ramionami.

— A będzie z piętnaście, nie?

Dealer z zapałem kiwnął głową.

— No! Dawałem kasę, wy pomagaliście rozkręcić biznes, było klawo. Ale czas leci. Pan wie, kto u mnie bryki kupuje? Ja mam teraz na jeden telefon lepszą ochronę, niż pan by przez tydzień zbierał.

Krawiec uniósł brwi. Naprawdę nieznacznie, delikatnie, jak na niego — wręcz subtelnie. Niemniej — gdyby dealer nie był tak zasłuchany we własne tokowanie, musiałby to zauważyć. Nie zauważył.

— Drzwi się u mnie nie zamykają od różnych ważniaków, a każdy chętnie za dobrą brykę z dobrym upustem jakąś przysługę zrobi. — Dealer przerwał na chwilę, znów poprawił się w fotelu: wyraźnie zmierzał do puenty. — Dawałem wam się przy mnie pożywić, bo mam sentyment do pańskiego ojca za to, że jak komuna pierdolnęła, umiał się ustawić, a przy nim niejeden stanął na nogi. Ale ja już za wysoko wlazłem, sam nie wiem, kiedy. Jakby tu obcy przylazł po podatek, to bym powiedział wprost, że jest na mnie za krótki, a panu mówię tylko, że nam już nie po drodze. Czyli „co złego to nie ja" — i musicie znaleźć nowego frajera.

Krawiec kiwnął głową.

— Zawsze twierdziłem, że masz pan łeb na karku.

Dealer przyjął to za dobrą monetę, odprężył się, chciał z tej okazji łyknąć koniaku. Zauważył, że ma już pusty kieliszek. Z uśmiechem sięgnął po butelkę.

— Okazuje się… — Dealer skamieniał, a dzwoniąca komórka nie pozwoliła Krawcowi dokończyć zdania. Wyciągnął aparat z kieszeni, spojrzał, kto dzwoni, odebrał.

— Mów, co jest, tylko krótko i z sensem.

Słuchał chwilę. Dealer zastygł z palcami na nakrętce butelki. Krawiec najpierw był zaskoczony, potem wściekły, w końcu zdziwiony.

— Zaraza jakaś czy co?… Poczekaj tam na mnie, zaraz będę.

Wyłączył komórkę, wstał, spojrzał na znieruchomiałego dealera patrzącego zza blatu biurka z niepewnością podwórzowego kundla spodziewającego się kopniaka.

— Okazuje się… że nie pogadamy, bo czasu mało. A i gadać chyba nie ma o czym. — Krawiec odwrócił się i wyszedł. Dealer wypuścił powietrze z płuc, odkręcił zakrętkę, która

wypadła mu z drżących palców i toczyła się po biurku, aż spadła na dywan. Pociągnął łyk prosto z gwinta.

Pasztet i Pompka stali przed swoim autem, oparci tyłkami o maskę. Wystawiali gęby do słońca. Czekali.

Z wnętrza magazynu nadszedł Jajcarz. Jeszcze przed wyjściem na rampę zobaczył chłopaków stojących tyłem do niego. Zamurowało go. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić cichcem do kantorku i nie zadzwonić po wsparcie. Po namyśle ruszył jednak do przodu. W progu rozejrzał się dyskretnie. Cisza, upał, spokój… Odetchnął z ulgą, wróciła mu pewność siebie. Wyszedł na rampę i z góry zapytał prowokująco:

— Wy jeszcze tutaj?

Pasztet nawet nie drgnął, nie otworzył oczu.

— Nigdzie nam się nie spieszy — oznajmił spokojnie.

— Nie dałeś kasy, na wachę nie mamy — rzucił żarcik Pompka, któremu też nie chciało się otwierać oczu.

— Jedźcie stąd. Lepiej, żeby was tu nie widzieli.

— Wyrzucasz nas?

— Nie, tylko mówię.

— Daje ci Fantom ochronę — dzwoń po jego chłopaków, niech nas pogonią.

Hurtownik stał jeszcze przez chwilę, potem bez słowa odwrócił się i wszedł do magazynu. Pasztet dopiero teraz otworzył oczy, przekręcił głowę w tył i w górę, żeby spojrzeć za odchodzącym. Rozległ się ryk silnika. Mercedes Krawca złapał poślizg przy wjeździe w bramę, w ostatniej chwili wyrównał, zahamował ostro przy samochodzie chłopaków. Krawiec wyskoczył z wozu, zostawił otwarte drzwiczki i wbiegł na rampę, gestem powstrzymując chcących ruszyć za nim goryli. Po chwili z wnętrza doleciały jakieś krzyki, we wrotach

hali pojawił się zmykający tyłem robotnik. Zaraz za nim Krawiec, też idąc trochę tyłem, a trochę bokiem, wywlókł Jajcarza, trzymając go oburącz za koszulę na piersiach. W połowie szerokości rampy zatrzymał się i robiąc półobrót, nadał hurtownikowi prędkość. W ostatniej chwili podciął mu nogi. Jajcarz przez sekundę leciał, po czym jak worek spadł wprost na bmw Paszteta, wgniatając dach. Osunął się na ziemię.

Krawiec zeskoczył z rampy, stanął przy nim, czekał. Jajcarz powoli podnosił się na nogi. Wtedy Krawiec zrobił prawą ręką gwałtowny zamach przed jego twarzą — odwrotny, jakby cofał cios. Błysnęła stal. Ofiara krzyknęła przeraźliwie. Z policzka mężczyzny trysnęła krew — Krawiec wysunął z rękawa swój nóż. Widząc, co się dzieje, robotnik, który przedtem wybiegł z magazynu, rzucił się w stronę budynku biurowego. Pasztet skoczył za nim, dopadł go po kilku krokach, przewrócił. Wyciągnął pistolet, przyłożył leżącemu do głowy.

— Co, kurwa, chcesz, żebym ci łeb rozpierdolił? Chcesz?!

Przerażony mężczyzna nie mógł wykrztusić słowa, pokręcił tylko głową. Pasztet go kopnął.

— Spierdalaj do magazynu i siedź cicho!

Przy samochodzie skulony Jajcarz przyciskał dłoń do rozoranego policzka. Szeroko otwartymi oczami patrzył na Krawca, który przyłożył mu ostrze do gardła.

— Oprócz tego, co zawsze, dołożysz drugie dziesięć tysięcy za moje nerwy i pięćdziesiąt za zniszczoną brykę — oznajmił.

— Jezu, Krawiec! Skąd ja wezmę… — Hurtownik dopiero teraz był naprawdę przerażony.

— Przecież Pasztet — Krawiec ruchem głowy wskazał pogięty dach bmw — musi teraz kupić sobie nowy wózek, nie? Kasa na jutro rano!

Hurtownik, mimo strachu, próbował negocjować.

— Krawiec, co ty? Gdzie ja przez noc siedemdziesiąt kawałków wykombinuję?

Krawiec zgodliwie kiwnął głową, zdejmując ostrze z szyi nabiałowego przedsiębiorcy i chowając nóż do rękawa.

— Nie ma sprawy, może być pojutrze. Też ósma rano. Tyle że plus dwadzieścia procent za zwłokę. Jakbyś nie mógł, to zadzwoń, poczekam nawet i dłużej. Opłaci mi się. — Nachylił się nad klęczącym. — Ostatni raz. Ostatni raz mi się postawiłeś. Zrób to znowu, a pójdziesz do piachu.

Odwrócił się, machnięciem ręki dając chłopakom znak, żeby wsiadali do swojego auta. Dwa samochody wyjechały za bramę, wznosząc tumany kurzu.

Jajcarz rozejrzał się. Zza drzwi hali i zza narożnika drugiego budynku patrzyli na niego przerażeni pracownicy, niepewni, co mają robić. On sam nie wiedział, co ma robić. Jedna z zatrudnionych u niego bab przyniosła apteczkę, bez słowa podała mu opatrunek. Przyłożył gazę do policzka. Kiwnął jej głową, to było podziękowanie. Wciąż na niego patrzyli. Wzruszył ramionami i powlókł się do wnętrza.

Śmierć jest ewidencjonowana jak mało co w życiu obywatela, dlatego zakład pogrzebowy nie może być pralnią pieniędzy. Ale może być przedsiębiorstwem bardzo dochodowym i jego właściciele mogą żyć we względnym luksusie, nie wzbudzając przy tym żadnych podejrzeń. Właścicielką takiego zakładu pogrzebowego, w Zielonce pod Warszawą, była Krystyna Chałatkiewicz, młodsza siostra żony Bosego. Prowadziła go od wczesnych lat osiemdziesiątych. Teraz stała przed swoim biurkiem, ubrana dostojnie, w ciemne, prawie żałobne ciuchy. Klient spojrzał w jej oczy z głęboką wdzięcznością.